

Józef Baran

Spadając, patrzeć w gwiazdy (50) (fragmenty)



Mama wspominała dawne czasy...

moja prawie stuletnia mama
opowiada rewelacje
sprzed prawie stu lat
jakby były niusami z wczoraj

a ja słuchając ich
po raz setny
udaję że słyszę
po raz pierwszy
i wykazuję nimi tak żywe
zainteresowanie
że na chwilę
ożywiam mamę

Piękna pogoda, człowiek przegląda się w
niej jak w czarodziejskim lusterku. Obiera-
łem czarne porzeczeki, bo żona Zosia jest po
operacji jeszcze słaba, jeździłem na rowerze,
miałem pogodny nastrój. Odpoczywaliśmy
po wyjeździe kochanych maluchów (wnu-
ków), które podczas dwudniowego pobytu
chciały przewrócić dom do góry nogami, ale
im się to do końca nie udało.

Lipcowe ważenie się szal

Lato
brzemienne w upały
waży się ponad polami
niczym Wielka Ważka
na promiennych szalach

dojrzewają żyta i błękity
polami biegną ku niebu słoneczniki
wszędzie pleni się bujna pełnia lata
nienaruszona
promieni
pokosem
i nie słysząc jeszcze by śmierć
ostrzyła kosę
za górą za rzeką
za losem

między nami
słoneczne mosty
i miłosne esemesy
kreślą w powietrzu
motyle

tak chciałoby się
wstrzymać w locie czas i blask

i zastępnąć
w oniemiałym zachwycie

gdy nie wiadomo co począć z
z Pięknem
którego w oczach
w oczach aż tyle!

Te same słowa, zdania, prawdy inaczej
pachną, bołą, smakują w momencie ich wy-
powiadania, a inaczej po chwili, po miesią-
cach, po latach. Zrazu bołą bardziej od rany
po nożu. Potem maleją, ni ziębią, ni grzeją,
obojętnieją, kurczą się, zapadają w sobie.

To samo słowo, to samo zdanie, ta sama
prawda, następnie półprawda, ćwierć-
prawda, nieprawda. Nie wiadomo po co
wypowiedziana kiedyś z taką emocją, żarem,
naciskiem. Przypominasz sobie je ze zdzi-
wieniem, obracasz obojętnie w sercu, w
palcach, jakby nie były twoje. Dziwisz się
sobie, jakim byłeś, obłokom, które rozwiał
wiatr, skamielinom motyla, martwym skrzy-
dełkom, odnóżkom tamtej chwili.

...Bo świat się ciągle zmienia wokół wy-
powiedzanego słowa, zdania, prawdy, które
również przeobrażają się nie do poznania.

Zastanawiam się nad zdaniem Maraiego,
że piękno jest zimnym ogniem, przy którym
nie można się nawet ogrzać. Czyżby chodziło
o to, że tylko Dobro jest takim ciepłym pło-
mieniem? Ale przecież zdarza się, że Piękno i
Dobro stanowią jedno.

Akrobaci miłości na rowerach rozjeżdża-
ją się w dwie przeciwne strony wirującej kuli
ziemskiej po to, by za jakiś czas, objechawszy
kulę, zjechać się na powrót z dwu przeciw-
nych stron i znów paść sobie w ramiona.

Są ludzie, którzy nie wyściubiają nosa
poza własny byt. Widzą wszystko w sobie, z
perspektywy mrówki, kury. Nie potrafią
spojrzeć na siebie od-sobnie, z perspektywy
bliźniego, cóż dopiero z perspektywy obcego;
z lotu sokoła, który ma za nic wszelkie grani-
ce. Nie potrafią wyjść ze skorupy i spojrzeć
na siebie z boku, z wysoka, z daleka. Nie
potrafią wyjść z jajka o długiej nazwie „Jakie-
goś mnie, Panie Boże, stworzył – takiego
mnie masz” i spojrzeć na siebie z perspekty-
wy innej kultury, innego narodu, innej epoki.
To wcale nie musi dotyczyć ludzi niewy-
kształconych. Znam profesorów, którzy
nigdy z siebie naprawdę nie wyszli, zawsze
tkwili w bezpiecznej skorupie, ba, znam
podróżników, którzy nigdy nie zaryzykowali
podróży poza siebie... Mrozek pisał mi w
liście, że mało jest ludzi znających dwa wy-

miary czegoś, a co dopiero znających trzy,
cztery wymiary... Ludzie jednowymiarowi i
ludzie wielowymiarowi...

Nieraz to, co wiąże ludzi mieszkających
daleko od siebie, jest usnute z tak cienkich,
niemal niematerialnych jak pajęczyna nitki.
Wydaje się, że lada wietrzyk, lada podmuch,
lada deszcz potrafią zerwać, podrzeć na
strzępy te niewidzialne więzy, niemające nic
wspólnego z prozą życia. A jednak to nie
pajęczna nitka, a most, który wisi...

Nieimiłosiernie piękne lipcowe dni prze-
pływające nad równiną, nad moim letnim
domem w Borzęcinie, nad moim ogrodem;
przez równinę, przez dom, przez ogród,
przeze mnie.

Nie umiem tego zatrzymać w wierszu.
Brat Gienek, który ma 40 uli, przerabia je na
miód strzępywany z ramek. Zosia krząta się
po kuchni i po ogrodzie, obiera porzeczeki,
agrest, maliny, przerabiając na konfitury,
dżemy i soki. A mnie pozostaje żal, że tyle
nieuchwytnego piękna ucieka, przepływa,
rozpływa się w nicości i daremnie we mnie,
a ja nie potrafię tego utrwalić w słowach.

Żal, że to już sześćdziesiąte czwarte lato
w moim życiu. Żal, że lato, którego szale ważą
się nad łąkami, polami, za chwilę zacznie się
przechylać w stronę jesieni wraz z pierw-
szymi pokosami. Czuję to przez skórę. Żal, że
za moment zacznie się odpływ lata, odpływ
mojego kolejnego lata...

Żal po odchodzących bezpowrotnie lip-
cowych dniach...

Noc lipcowa, zduszone głosy dobiegające
z sadu, dźwięki muzyki jak z innej planety,
planety Wesela. Tam gdzieś daleko we wsi
tańczą, a tu, w domu, człowiek przewraca się
z boku na bok, pragnąc w sobie zgasić resztki
gwaru dnia, co w nas nie chce dogasać. Tęsk-
nota za czymś, za kimś, za młodością.

Kilkudniowe odwiedziny Tomka i jego
żony pisarki Wioli Sobierajów z Łodzi. Byli-
śmy na zamku w Dębnie, gdzie gościł przez
niecały rok najwybitniejszy poeta węgier-
skiego Renesansu Balassi.

Tomek – poeta, prozaik, a nade wszystko
zbuntowany przeciw modom literackim
krytyk, idzie drogą Artura Sandauera, kiere-
szując współczesnych idoli. Nie będzie miał
łatwego życia w kraju, gdzie obowiązuje
obcałowywanie się, poklepywanie po plecach
i taryfa ulgowa dla „naszych”.

Na szczęście wizyta zakończyła się szcze-
śliwie – nie strzelaliśmy do siebie, nie obciąż-
łem sobie ani jemu ucha, tylko parę razy
podskoczyło mi w trakcie rozmowy ciśnienie.

Przekazać autentyczne, nieudawane i
niezakłamanie wzruszenie – co jest dziś
podobno niemodne w sztuce – to moim
zdaniem pierwsze, niezbywalne przykazanie
liryki.

cdn.